Nr. 19. We Lwowie dnia 13. maja 1895. Rok III.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z listów Pawła Józefa Szafarzyka.

Dnia 13. bm. mija sto lat od narodzin * niezrównanego dotychczas twórcy »Starożytności słowjańskich«, autora pierwszych »Dziejów piśmiennictw słowjańskich«. Gdy w szkicach poprzednich o Jungmannie (»Tydzień« nr. 12 i 13) i A. Marku (nr. 15) wypadło mi przedstawić działaczy odrodzenia czeskiego w mniej korzystnem oświetleniu, bo jako uprzedzonych sędziów rzeczy polskich — tem skwapliwiej korzystam teraz ze sposobności, by na podstawie tych samych źródeł, co w onych szkicach, a więc zwierzeń, listownie udzielanych piewcy »Córy Sławy«, Janowi Kollarowi, określić choć ułamkowo ** stanowisko Szafarzyka wobec Polaków i rzeczy polskich. Ponieważ listy, ogłoszone drukiem, przypadają na czasy ponapoleońskie, a nic sięgają do powstania listopadowego, nie mogę podać zdania wielkiego slawisty o obu wysiłkach narodu naszego, dążących do odzyskania wolności. Kto wie nawet, czy je wypowiedział kiedy, bo o ile go poznajemy w listach, ogranicza się na pole piśmienniczo-naukowe, stosownie do tego, co uważał za »pierwszy, główny cel« pracowników na niwie wszechsłowiańskiej wówczas; było zaś nim »zapoznanie się wzajemne Słowjan« (list z 16. sierpnia 1827). Z tego, jak ze źródła, wypłynęło przedewszystkiem pierwsze większe dzieło Szafarzyka, wspomniane »Dzieje piśmiennictw słowjańskich«.

Ostateczne ukształtowanie dzieła tego przejęło niejedno z wzorów polskich; dlatego nie od rzeczy będzie o nim nieco szerzej pomówić i wskazać na dzieła polskie odnośne.

* Porównaj *Czasopis Czeskiego Muzeum* z lat 1873 i 1874.

** Listy te bowiem obejmują lata 1821—1828.

Z myślą owych »Dziejów« długo nosił się Szafarzyk i długo ją przetrawiał w sobie, zanim oblókł w ciało. Zrazu był to tylko szkic, ułożony na wszechnicy jenajskiej dla użytku młodego studenta głównie na podstawie »Slawina« i »Slowjanki« Dobrowskiego. Ponieważ przewodnicy jego duchowi: Dobrowski, Adelund i Vater pisali po niemiecku, wypisywał notaty swe też w tym języku. Po kilku latach (1821) i nagromadzeniu potrzebnych materjałów, zaczął pracę swą rozszerzać, a choć już wtedy myślał dzieło to wydać, nie przestał w dalszym ciągu wykańczać go po niemiecku, a to dlatego, że (jak pisze 21. stycznia 1824) »miał na oku uczoną wszechsłowjańską ludność monarchji austrjackiej«, a z drugiej strony też »zatwardziałych« Niemców. Tej »próżności« żałował następnie, »zapoznawszy się z dziełami Rakowieckiego (»Prawda ruska«), Potockiego St. (»Pochwały uczonych Polaków«) i Grecza (»Hist. piśmiennictwa rosyjskiego« w przekł. Lindego)«, ale było już zapóźno, bo samo przepisanie pracy wymagało jeszcze pół roku, a cóż dopiero przekład?!

Sam Szafarzyk stwierdza wyznaniem powyższem wielki wpływ dzieł Rakowieckiego i Potockiego na swe »Dzieje«, a zdania, jakie o nich w listach wypowiada, tylko dokładniej określają stanowisko uczonego polskiego wobec nich. O Rakowieckiego »Prawdzie ruskiej« (Warszawa 1820—1822, 2 tomy 4to), którą otrzymał razem z potrzebną mu literaturą Bentkowskiego i słono musiał opłacić (bo 25 zł. m. konw. to zn. 6 zł. za porto! prw. list z 13. czerwca 1823) tak pisze, odwołując się przytem na krytykę jej w *Hallesche Zeitung*(?) z r. 1822: »Muszę wyznać, że, jak długo żyję, żadne dzieło słowjańskie tak błogiem uczuciem nie napełniło mego serca jak to. Otwiera się w nim całkiem nowy świat słowjański przed oczyma zdziwionego czytelnika. Z tego

obfitego źródła w przyszłości będę czerpał hojnie i obrócę to też na naszą korzyść« (24. maja 1823). Jakoż przedewszystkiem skorzystał z Rakowieckiego w przedstawieniu piśmiennictwa t. zw. starosłowjańskiego, które podług niego przerobił, a podobnie miała się rzecz i w innych działach (28. czerwca 1823).

Że się uczony czeski powołuje na Potockiego panegiryki, wydane w Warszawie 1816, to już rzecz dziwniejsza, ale klucz do rozwiązania tej zagadki stanowi list z 4. marca 1823, z którego się dowiadujemy, że nie może dostać wyczerpanej rzekomo »Historji literatury polskiej« Bentkowskiego. Zresztą trudno nie przyznać słuszności pochwale zalet stylu, książce tej przyznanej przez Szafarzyka później (11. sierpnia), gdy już, będąc w posiadaniu Bentkowskiego nie potrzebował się na Potockiego oglądać w przedstawieniu dziejów piśmiennictwa dawniejszego, bo co do nowszego, nie mogła mu być źródłem, urywając na roku 1816 (prw. list z 21. stycz. 1824). Nie miał też dostatecznej pomocy w tym kierunku w katalogu wydawnictw polskich, uzyskanym z Warszawy przez księgarza wiedeńskiego (prw. list tenże i z 6. stycznia 1823); dlatego musiał się o informacje dokładniejsze uciekać listownie do Bandtkiego.

Bentkowskiego naturalnie stawiał sobie za wzór, choć nie w »Dziejach«, bo na to było już za późno, to w planowanej bibljografji słowackiej (list z 21. stycznia 1824), a poznawszy »Historję literatury czeskiej« Jungmanna, wyraża żal, że uczony ten nie poszedł za przykładem naszego i innych, »którzy bibljografję z dziejami piśmiennictwa mistrzowsko połączyli«, wskutek czego »dotychczas i na przyszłość tylko Polacy mają i mieć będą dzieje piśmiennictwa swego, jak się należy« (10. października 1824).

W listach Szafarzyka do Kollara znajduję jeszcze wzmiankę o »Dykcjonarzu poetów polskich«, który posiadał w swym księgozbiorze i pożyczył przyjacielowi wraz z Woronicza »Sybillą«, otrzymaną w darze od pewnego Polaka (o czem niżej). Że ów »Dykcjonarz« to dzieło Juszyńskiego, to rzecz pewna tak, jak i to, że posłał je wraz z »Sybillą« Kollarowi w tym celu, by tenże zaznajomił się z nazwiskami sławniejszych w każdym względzie Polaków, których miał następnie wtłoczyć w sonaty swej »Córy Sławy« (prw. listy z 19. i 29. lipca 1827).

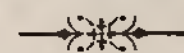
* * *

Dok. n. *Dr. Fr. Krczek.*



BŁĘKITNY NASZYJNIK.

(Z cyklu »Z dalekich lądów«).



(Ciąg dalszy.)

Ale w tym wypadku nadarzała się sposobność zarobienia czterysta, nawet pięćset za sto. Sokomé miał ten piękny ogień nieopatrzności w oczach, tak znany europejskim jubilerom, gdy rozkochani młodzieńcy kupują u nich zaręczynowe pierścionki. Europejscy jubilerowie! z ręką na sercu: czy nie zdarza wam się upiec małej, maleńkiej pieczonki nadprogramowego zysku przy takim ogniu? Cóż dopiero, gdybyście byli ajentami afrykańskiej faktorji, a klientem waszym był murzyn z Tabu!

Więc też przedstawiciel firmy Bartley Broters & Comp. był zupełnie w porządku z obowiązującą w takich razach etyką, gdy po krótkim namyśle odpowiedział:

— Nie chcę nadużywać twego zaufania, Sokomé! Pragnę, abyś się przekonał, iż biały człowiek zawsze tylko sprawiedliwością się rządzi i dba o cudze dobro jak o własne. Nie tak, jak wy, *buszmani*, cobyście z białego skórę zdarli, gdybyście mogli. Mógłbym ci na twój naszyjnik nałożyć taką cenę, jakąby mi się podobało, nieprawdaż?

— Prawda, massa — odparł Sokomé trochę zalęknionym głosem, gdyż ten początek obudził w nim jakieś złe przeczucia.

— Otóż widzisz. Takby postąpił każdy czarny. Ale ja jestem człowiek biały, a co najwięcej znaczy, anglik. Nie chcę nawet jednego penny na tym interesie zarobić, bo mam do ciebie słabość, Sokomé. Jesteś dzielnym chłopcem, Sokomé. Policzę ci tylko tyle, ile naszyjnik na miejscu wraz ze sprowadzeniem kosztować będzie.

— A to będzie, massa? — zapytał jeszcze uspokojony po części Sokomé.

— To będzie cztery miesiące twojej służby — odrzekł ajent, który istotnie lubił roztropnego i zwinnego Sokomégo i skutkiem tego powziął wspaniałomyślne postanowienie, że chociaż powinno się tu zarobić pięćset, on poprzestanie tylko na czterystu dwudziestu pięciu za sto.

— Cztery miesiące — powtórzył Sokomé i mimowoli brwi ściągnęły mu się trochę, a czarna, podłużna kresa, jaką miał wytatuowaną pośrodku czoła, lekko krwią nabiegła. Przypomniał sobie jednak słowa Yangi: »Ten tylko będzie moim mężem, kto mi te perły na szyji zawiesi« i uczuł się bardzo szczęśliwym.

Rozpromieniony, podziękował raz jeszcze dobremu panu i wrócił do roboty, a im bardziej nad tą sprawą rozmyślał, tem więcej w niej powodów do zadowolenia znajdował.

Cóżby to było, gdyby naszyjnik kosztował nie cztery, lecz dwadzieścia miesięcy jego służby, lub gdyby go wcale nie można było sprowadzić? W pierwszym wypadku musiałby powrócić do kraju z temi tylko perłami za cały majątek w pustym kuferku; w drugim nie pozostawałoby mu nic innego, jak wyrzec się Yangi i chyba — utopić się z rozpaczy.

Wieczorem radość jego jeszcze wzrosła, podniecona postronnemi okolicznościami. Bywa tak czasem, że wszystko złoży się na doskonałą harmonję szczęścia w duszy człowieka, zupełnie, jak gdyby cały świat o niczem innem nie myślał, tylko o zaspokojeniu jego pragnienia.

Właśnie dnia tego w faktorji padł z niewiadomej przyczyny piękny, tłusty wieprz i pan oddał go *boyom* na ich wyłączny użytek. Natychmiast dano znać »braciom« z sąsiedniej faktorji i zaproszono ich na tak niezwykłą ucztę, a ci, znający się na prawie wzajemnej uprzejmości, przynieśli ze sobą kilka butelek dżynu i rumu.

Noc była prześliczna. Rozpalono wielkie ognisko pod gołem niebem; chorowity ale utalentowany Uaró, który, jako najsłabszy, na kucharza partji wyznaczony został i niczem innym się nie zajmował, przeszedł samego siebie tym razem.

Drobno pokrajane kawałki wieprzowiny wymieszał z ryżem i suszoną rybą; zalał to olejem palmowym, wsypał garść krajowego pieprzu, żeby *boyom* aż świeczki w oczach stawały, a rum płynął przez wyparzone gardło, jak woda, dołożył trochę *okro*, bodaj nawet kilka z pańskiej kuchni cichaczem przyniesionych cebul i gotował wszystko w ogromnym kotle, mieszając polanem, gdy z drugiej strony ogniska piekły się pyszne szynki z rozkosznem skwierczeniem słoniny i miłą wonią opalonej sierści.

Nie dziw też, że gdy Sokomé zasiadł wraz z towarzyszami na ziemi dokoła wesoło buchającego płomienia, gdy zjadł czubatą, cynową miskę ryżowego *czopu*, zakąsił to sporym kawałem pieczonej wieprzowiny i popłukał blaszanką wonnego rumu, gdy nadto pomyślał o naszyjniku, który już jakby miał w ręku, świat przyodział się blaskiem w jego oczach i kochanek pięknej Yangi zapragnął ulżyć pieśnią wezbranemu sercu.

Bo myliłby się, ktoby sądził, że olej palmowy i wieprzowina nie są dobrymi przewodnikami poezji. To zależy, jak, kiedy i gdzie. A myliłby się jeszcze bardziej ten, ktoby wątpił w poetyczność młodzieńców z Tabu. Są oni nietylko poetyczni, ale i wysoce muzykalni i wrażenia swoje chętnie w chóralne śpiewy przelewają. Chcąc jednak ocenić je należycie, trzeba koniecznie wyjść z tego założenia, iż ta muzyka jest najpiękniejszą, którą jak najdalej słychać, inaczej najkunsztowniejsze melodje z brzegów Tabu mogłyby się łatwo melomanowi, o zacieśnionem pojęciu harmonji, wydać niesfornym i przerażającym wrzaskiem.

Uczuł się więc Sokomé natchnionym; powstał i zaczerpnąwszy powietrza w piersi, wystąpił przed zgromadzeniem w podwójnym charakterze improwizatora i śpiewaka. Oto pieśń jego: »Cieszmy się, bo mamy dobrego massę! Inny massa byłby sprzedał wieprza *buszmanom* z Kalabaru,* nasz massa nam go darował«. »Cieszmy się i życzmy sobie, żeby jaknajwięcej wieprzów zdychało u naszego massy, gdyż zabitego massa by nam nie oddał«. »Biali ludzi, są to dziwni ludzie. Nie wiedzą, że tak, czy inaczej, mięso jest zawsze mięsem. Ola-lé, Ola-lé, Ola-lé«.

— Ola-lé, Ola-lé, Ola-lé! — zagrzmiał chór, a wybierając z improwizacji Sokomé'a to, co mu najbardziej do przekonania trafiło, powtórzył z mocą:

— Cieszmy się i życzmy sobie, żeby jaknajwięcej wieprzów zdychało u naszego massy!

Dwa tamtamy rytmicznym klekotem towarzyszyły tym potężnym recitatiwom, a gdy umilkły, Sokomé śpiewał dalej:

»Rum naszego massy jest mocny. Gdy wrócimy do Tabu, każdy z nas musi zabrać z sobą baryłkę tego przewybornego rumu, żeby sprawić radość w swojej chacie«. »Zapachy** naszego massy przyjemnie łechcą w nosie; nie giną prędko, jak inne; gdy się niemi natrzeć, żadna zła mucha nie będzie jadła naszego ciała«. Trzeba zabrać dużo tych zapachów do Tabu. Jakże je będą wąchać nasze *yunuby*. Nasze *yunuby*, które są *zanadto* pięknemi kobietami. Ola-lé, Ola-lé, Ola-lé«.

Chór wybuchnął śmiechem dumy i zadowolenia i powtórzył, uderzając się po biodrach:

— Ola-lé, Ola-lé, Ola-lé! Nasze *yunuby*, które są *zanadto* pięknemi kobietami!«

Długo w tym duchu śpiewał Sokomé, z akompanjamentem tamtamów i coraz głośniejszych okrzyków rozgrzanego rumem i pieśnią chóru, aż z epickiego tłumacza ogólnych uczuć przeszedł, sam nie wiedząc jak, na skromniejsze, lecz wdzięczne pole egotyzmu.

— O Yango, Yango! — zanucił z melancholijnym niemal oddźwiękiem w głosie — gdybyś tu była, cieszyłabyś się jeszcze bardziej, niż my wszyscy. Nietylko dostałabyś ryżu i mięsa, tłustego, wieprzowego mięsa, ale Sokomé powiedziałby ci, że będziesz miała naszyjnik, naszyjnik z błękitnych pereł w trzech rzędach,

---

* Każde plemię w Afryce uważa inne plemiona za coś niższego od siebie, za *buszmanów* (ludzi z lasu, dzikich). (Przyp. aut.).

** Dosłowne znaczenie wyrazu *smells*, używanego przez murzynów na określenie wszelkiego rodzaju perfum, olejków i t. p. (Przyp. aut.).

przegradzanych złotemi gwiazdami. Żaden z »braci« nie przywiezie swojej *yunubie* tak pięknego podarunku. Cztery miesięce pieniędzy kosztować mnie będzie ten naszyjnik. Tak powiedział massa. Gdy zostaniesz moją żoną, odrobisz mi to, Yango, z pewnością, wytłaczając olej pilniej, niż inne żony i będziesz mi plotła duże, mocne maty. Ach! jakże dobrą żonę mieć będzie Sokomé za ten błękitny naszyjnik! Ola-lé, Ola-lé, Ola-lé.

Tu podskoczył Sokomé w górę, klaszcząc w ręce i uderzając się dłońmi po piętach, a cały chór, podniecony do najwyższego stopnia, powstał także i tańczył i klaskał w ręce i bił się dłońmi, gdzie popadło, rycząc poprostu z zapałem, przynoszącym zaszczvt jego altruistycznym uczuciom:

— Ola-lé, Ola-le, Ola-lé! Jakże dobrą żonę mieć będzie Sokomé za błękitny naszyjnik!

Znajdował się przecież ktoś, nie biorący udziału w ogólnej wrzawie i uczcie. Tym kimś był młodzian imieniem Tai, należący do owej drugiej partji, którą Sokomé i jego towarzysze zastali już w Kalabarze. Był on zazwyczaj małomówny i ponury, ale powiadano o nim, że jest »zanadto« mądry.

Z początku podśpiewywał i wyjątkowo śmiał się wraz z innymi, bo czegoż nie dokaże cudowny wpływ wieprzowiny i rumu! ale gdy tylko Sokomé wymówił imię Yangi, Tai spojrzał na niego »żółtym wzrokiem« i zacisnął pięści, mruknąwszy przez zęby szkaradne przekleństwo.

Wiadomem było, że Tai na wyjezdnem oświadczał się także pięknej Yandze, lecz gdy mu postawiła warunek naszyjnika, splunął w bok i odwrócił się od niej, nie powiedziawszy ani słowa więcej.

Swoją drogą nieznośnie mu było słuchać teraz, jak Sokomé chełpi się jej wzajemnością i swym sutym podarkiem i jak wszyscy radują się jego przyszłemu szczęściu. Wycofał się więc z koła, sięgnął po stojącą opodal butelkę z trochą nafty i przysiadłszy obok dogasającego ogniska, zaczął nią pilnie wycierać sobie stopy i szukać w nich dżygów, aby w ten sposób całą swą pogardę nienawistnemu rywalowi okazać.

Ale upojony szczęściem Sokomé nie widział tego. Był w usposobieniu, w jakiem nie zwraca się uwagi na dąsy bliźnich.

Minęło dwa miesiące. Kiedy już można było spodziewać się nadejścia naszyjnika, Sokome nie miał ani chwili spokojnej. Przerywał najpilniejszą robotę i po kilkanaście razy na dzień wybiegał na brzeg rzeki, wysyłając po niej na zwiady swe sokole oczy; a że w ruchliwvm i wielce handlowym Kalabarze parowce z Europy są częstem zjawiskiem, zdarzało mu się wpadać z impetem do pokoju ajenta i zwiastować mu z uniesieniem: *Massa! steamer live for come!* (Panie, parowiec żyje, żeby przyjść), a potem doznawać srogiego zawodu, bo okręt przychodził, ale bez naszyjnika.

Wreszcie przyszedł taki, co go przywiózł. Gdy pan, przejrzawszy *bill of leading* (wykaz przybyłych towarów), obwieścił mu to, Sokomé o mało nie upuścił w morze ciężkiej skrzyni z konserwami, którą właśnie na *serfboat* ładował i przez resztę dnia był jak nieprzytomny.

Nazajutrz przystąpiono do otwarcia paki, w której między innemi towarami miał się znajdować cenny klejnot. Sokomé sam ją odbił i skaleczył się gwoździem w palec z wielkiego wzruszenia. Naszyjnik przyszedł w osobnem, podłużnem pudełku, owiniętem bibułą i wyłożonem watą. Pan, widząc, że Sokomé'mu latają palce, jak w febrze, otworzył je własnoręcznie.

— Patrz, Sokomé — zawołał. — Szczęśliwy z ciebie człowiek, Sokomé. Masz naszyjnik, który przejdzie chyba twoje oczekiwania.

Na białem posłaniu waty, jak wielkie krople krwi, czerwieniły się cudne, pąsowe perły, a każda z nich połączona była z drugą, za pomocy srebrnej, przeźroczyście wyrabianej kulki. Pereł tych było tylko dwa rzędy, ale zamiast trzeciego, zwieszał się ku dołowi cały las srebrnych i ponsowych trzęsideł, które, gdy pan naszyjnikiem przed oczami Sokomé'go mignął, delikatny a przeciągły dźwięk wydały.

Sokomé spojrzał; otworzył usta i podniósł ręce do głowy takim ruchem, jak gdyby zamierzał wydrzeć sobie ze dwie garście włosów, ale, że rodzaj jego fryzury zabezpieczał go stanowczo od losu Absalona, więc ujął tylko wygoloną czaszkę w obie dłonie i zaczął nią chwiać na prawo i na lewo, z przeciągłem, żałośnem zawodzeniem.

— Co tobie, Sokomé!? — zawołał pan wystraszony, myśląc, że biedny chłopiec ze zbytku radości zwarjował.

— O massa! massa! — wyjęknął nakoniec Sokomé — To nie jest mój naszyjnik.

— Jakto, nie twój? Przecież go dla ciebie sprowadziłem.

— Nie, massa, nie! Mój miał być błękitny ze złotemi gwiazdami. Takiego chciała Yanga. Powiedziała mi to wyraźnie... O Yango, Yango! Jakże ja się teraz przed tobą pokażę? Jakże mi wrócić do Tabu!

I niezdolny dłużej pohamować swej boleści, z głośnem łkaniem rzucił się na ziemię, drapiąc ją paznokciami.

Przedstawiciel firmy Bartley Brothers & Comp. ulitował się nad nieszczęsnym Sokomé, co mu tem łatwiej przyszło, iż obliczył prędko, że na litości swojej będzie mógł znowu czterysta dwadzieścia pięć za sto zarobić.

— Nie rozpaczaj tak, Sokomé — rzekł. — Niema jeszcze nic straconego. Musiałeś mi niedokładnie opisać twój naszyjnik i zaszła pomyłka. Napiszę do Anglji i przyszlą drugi, błękitny ze złotemi gwiazdami. Co się zaś tyczy tego, to

aby ci dać dowód, jak cię lubię, Sokomé, przyjmę na siebie połowę straty. Wpiszę ci na książkę tylko dwa miesiące; drugie dwa ci daruję. Może znajdzie się kiedyś ktoś, co kupi ten naszyjnik, chociaż bardzo wątpię. Ale to już nie twoja troska. Chcę, abyś się raz jeszcze przekonał, jak biały człowiek umie być wspaniałomyślnym.

Dok. n. *Hajota.*



Dlaczego tak wiosnę lubię?



Już miła wiosna znów gospodarzy,
Wszystko na świecie się cieszy,
Bogaci, biedni, młodzi i starzy
Co żywe, za miasto śpieszy.

Patrz! jak się szczerze ten żebrak śmieje,
Bo jemu pieca już nie trza,
Suche swe kości do słońca grzeje,
Chleb maści łykiem powietrza.

A ten zgarbiony, kaszlący starzec,
Pierwszy raz wyszedł z zaduchy,
Zabójczy przebył dla starców marzec —
Znów pełno w starym otuchy...

Tam znowu młodych chichocze dwoje
W ciemnej, samotnej aleji,
Pierwszy raz sami są znów oboje,
Znów pełno w młodych nadzieji...

Dziecinne słychać śmiechy i wrzawy,
Szczek pieska i konia rżenie,
Much i motylków ciche zabawy
I głośne koguta pienie.

Mnie dobrze widzieć, tak wszystkich razem
Pod jednym nieba namiotem:
Pana z żebrakiem i orła z płazem
Dzielących się słońca złotem.

Jak w zimie cudzych cierpień nie dzielę
Od własnej, swojej katuszy,
Tak dziś też wszystkich stworzeń wesele
Do własnej mej wlałem duszy.

I wiosnę pełną tą duszą witam,
Świat cały czuję tak blisko,
Lepsi czy gorsi, o to nie pytam,
Dość, że szczęśliwe jest wszystko.

Quis.



KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

II. Bukiecik rozmarynu.

(Ciąg dalszy).

Jelka od dłuższej już chwili nie słucha staruszki: myśl dziewczęcia zatrzymała się na dobrej jej radzie. Przeczysta Panienka sama chyba przysłała Bubelową wówczas właśnie, gdy smutek najsilniej ją przytłaczał, aby ta jej wskazała, w jaki sposób ma się wyzwolić z pod gniotącego ciężaru i jak sobie w trosce poradzić. O tak, widocznem jest tutaj wyższe zrządzenie! Pójdzie w bieżącym jeszcze tygodniu za radą, którą jej daje samo niebo przez usta tej starowinki: wnet po weselu ofiaruje owe świece dla uspokojenia swego serca... i będzie już raz koniec z tem wszystkiem.

— A cóż tam porabiają matka i ojciec? — ciągnie dalej staruszka. — Samo się przez się rozumie, że wciąż mają do czynienia z rozmaitymi kłopotami, bo jakżeby inaczej być mogło! A nie naprowadza na nich nadchodząca zima strachu? Co do mnie, obawiam się jej niezmiernie; grzyby kupami w lesie siedzą, mnóstwo ich wszędzie, a to znak, że zamiecie będą gwałtowne, a mrozy siarczyste, aż ludziom szpik w kościach marznąć będzie, zobaczysz! Pozdrów rodziców odemnie, a zwłaszcza matkę, niech-że tam wstąpi kiedy do nas, aby zobaczyć, jak żyjemy. Czy słyszysz, co mówię? Dokąd-że to tak myśl twoja uciekła?

— O, nigdzie... nie myślę w tej chwili o niczem osobliwem.. Przyjdzie matka, przyjdzie wnet, skoro jej powiem, ze chcecie z nią się widzieć.

— Ma się rozumieć, że chcę. A zięcia mego nie potrzebuje się obawiać, aby krzywo na nią nie spojrzał. Cieszy się on owszem, gdy ludzie składają mi dowody pamięci. Od czasu, jak ustąpiłam mu chałupę, ani razu na mnie się nie zmarszczył. Nie miałabym mu też nic do zarzucenia, gdyby nie był trochę ślamazarny. We wszystkiem, co robi, niema trwałości, a wszystko co sporządza, na poły tylko sporządza. Gdy robię mu wyrzuty, że jego robota niewiele warta, odpowiada zawsze: »Bądźcie spokojni, matko, jest to całkiem wystarczające, wszak nikt z tego strzelać nie będzie«. Córce mojej też nic złego zarzucić nie mogę, ale nie jest już ona tak zapobiegliwą gosposią, jaką ja byłam niegdyś. Dba ogromnie o paradę i męża lubi stroić. A gdy jej tłumaczę, że kto chce dobrze gospodarować, ten nie powinien zbyt wiele kłaść ani w siebie ani na siebie, wówczas się zasępia. Czem byłybyśmy dzisiaj, my, stare gospodynie, gdybyśmy zachowywały się, jak teraz te młode i coby mówił o nas świat? Za czasów mojej młodości wszelki

przepych uważany był za grzech, to też nic innego nie nosiłyśmy na głowie, jak białe chustki; ludzie ani okien na zewnątrz ani niczego wewnątrz izby nie malowali z obawy, aby tem Boga nie obrazić. Kto piekł chleb trzy razy do roku, za szczęśliwego był uważany, żywiono się bowiem prawie wyłącznie rzepą i kaszą, a dzieciom dawano do szkoły po jednym tylko krowim serku. Natomiast mieliśmy tu w górach naszych jednego tylko żebraka. Dokąd tylko przyszedł, częstowano go czystą serwatką; sędziwego na niej doczekał się wieku, miał bowiem sto lat bez dwóch, gdy umarł, — i ja byłam na jego pogrzebie... Ale ja cię tu może zbyt długo zatrzymuję? I dokąd-że to mianowicie zdążasz?

— Idę zaprosić drużbę na wesele Weronki Adamówny, która jutro z całym pośpiechem za mąż wychodzi.

— Mówili mi o tem nasi po powrocie z kościoła, a jakże, mówili. Słyszałam, że panna młoda jest zacną dziewczyną, a pan młody dzielnym zuchem, zapewne też zgodniej żyć będą ze sobą, niż pierwsi małżonkowie

— O, z całą pewnością! Weronka nie jest tak ciekawą, jak Ewa, a jej przyszły mąż tak uległym, jak Adam.

— Nie Adama i Ewę miałam na myśli, ci dwoje nie byli jeszcze rzeczywistem małżeństwem. Pierwszymi małżonkami chrześcijańskimi byli dopiero śś. Joachim i Anna.. Ale nie żyli ze sobą w doskonałej jedności, jak jest o tem mowa w modlitwach.

— I o cóż dwoje tak wielkich świętych mogło się sprzeczać ze sobą?

— Możesz być pewną, że zgodzić się nie mogli co do świętej jakiejś rzeczy, ale w modlitewniku o tem nie stoi. Radabym i ja wielce wiedzieć, co to takiego było. Ale już sobie pójdę z Bogiem. A gdy matka do nas się wybierze, przyjdź z nią i ty: mamy tej jesieni tyle gruszek, że drzewa się łamią.

Pożegnały się: staruszka zdąża, suwając nogami, w stronę krzyża, aby się tam pomodlić, a druchna biegnie w kierunku przeciwnym, aby wywiązać się ze swego poselstwa.

Jakie to teraz krótkie dni: zaledwie nieszpory się skończyły, a już noc za pasem. I jeżeli Celka ma spełnić dane sobie zlecenie za dnia, jak tego zwyczaj i przyzwoitość wymagają, musi dobrze się śpieszyć. Słonko chyli się już ku zachodowi. Na szczęście niewielką ma do przebycia przestrzeń: domek stolarzów wznosi się pierwszy tuż zaraz u wstępu do wioski, już ku niej nawet wygląda zdaleka. Przebiegnie tę oto łączkę i stanie u wrót, do ogródka wiodących.

Jakkolwiek Celka silne ma postanowienie uciec się do środka, który dopomógł starej Bubelowej, gdy Maciej przestał ją kochać, a ona nie mogła wymazać go sobie z pamięci, — rozgląda się atoli bacznie po łące, czy nie ujrzy gdzie czterolistnej koniczyny. O wielki Boże! nie jeden listek, ale cały krzaczek tuż u stóp jej wyrasta. Wyciąga skwapliwie dłoń ku niemu, ale w porę sobie przypomina, że »szczęśliwe oczy, co oglądają czterolistną koniczynę, ale biada rękom, które po nią sięgną« — i szybko się odwraca.

Zblizka dopiero ocenić można należycie, jaki to śliczny ten domek stolarzów. Odrzwia i futryny na biało ma pomalowane, ściany jaśnieją różową barwą, a dach ciemno-czerwoną, jak to wówczas, przed wejściem w życie dzisiejszej mody, wszędzie w górach malowano. Pod oknami izby zielenią się krzewy różane z mnóstwem nawpół rozwiniętych pączków, chociaż w całej okolicy już nawet i pamięć o różach zaginęła. Paweł lubi powtarzać, że jego ogródek starczy mu za królestwo, od pierwszego też rzutu oka można poznać, jak go lubi i jakie ma o nim staranie. Krzewy, okrągło podstrzyżone, wyglądają jak stogi siana, a stoją w równym rzędzie, niby wojacy. Wszystkie konary, zbyt przeciążone owocem, mają podpory. A tam dalej altanka całkiem fasolą obrośnięta, że aż jej nawet nie widać z pod białych i czerwonych kwiatków, które jaśnieją ulubionemi barwami Pawła. Ach, jak słodkiego wypoczynku zażyje siostra młodej Cywkowej, gdy będzie tu siadywała w świąteczne popołudnia z modlitewnikiem w ręku! Ale czy to już napewne ona ma tu objąć rządy? Ha, co się uroi młodej Cywkowej, to ona do skutku doprowadzić potrafi. Wszak i z nią dzisiejszy jej mąż przez długi czas żenić się nie chciał, aż go w końcu zdołała przecież omamić. Skoro więc postanowiła siostrę tu umieścić, to ją umieści... byle tylko ta nie była do niej podobną i dała szczęście Pawłowi..

Mija z koleji oborę, z której wyzierają ku niej trzy krowy, okrągłe, pstrokate, niby kraszanki. A cóż to nagle nad głową jej zaszeleściało? Ha, to muchołówka wyfrunęła z obory, gdzie sobie nad żłobem gniazdko uwiła. Zaraz poznać można, że mieszkają tu dobrzy ludzie, bo u złych muchołówka się nie gnieździ.

Ale czyżby w tym domu nie było choćby jakiego ducha, że nic i nigdzie nie zaszeleści? Gołębie tylko, wszystkie bieluchne, jak świeżo opadły śnieg, dziobią ziarno po za domem, a w podwórzu przechadza się kilka kur w towarzystwie koguta. Ten ostatni — o złotych i czerwonych piórach — ma minę bażanta. Skoro tylko Celkę zoczył, wnet zaczął bić skrzydłami bez żadnej dobrej racji, pofrunął na owinięty chmielem płot, wyprężył i wygiął szyję, zamrużył oczy i — zapiał trzykrotnie na całe gardło, jak gdyby chciał ją z niezwykłą uroczystością powitać.

A Celka z radości się nie posiada, pianie jego bowiem oznacza, że nader uprzejmego dozna tutaj przyjęcia. Zdaje się, że tylko ojciec jest w domu, a Paweł gdzieś sobie poszedł. Gdybyż tak było naprawdę! Nie miałaby już czego ani

obawiać się, ani kłopotać. Stary okazuje jej wiele życzliwości, z nim dałaby sobie radę. Skoro tylko ujrzy ją zdaleka, natychmiast woła: »Tyś to?« A gdyby ojciec przyjął rozmaryn, toby i Paweł nie mógł uciekać się do żadnych wykrętów, tylko musiałby stanąć z nią za drużbę. Ha, niech-że się dzieje wola boska...

I w sieniach pustka i milczenie. W jednym rogu stoi dotąd skrzynia zmarłej matki Pawła, w mnóstwo kwiatów i ptaków pomalowana. Teraz nie robią już tak ozdobnych skrzyń, wypędzlują jedną jaką farbą i kwita!

Niedługo wszakże stać tu już będzie. Siostra Cywkowej wnet każe ją do śpichlerza lub w inne jakie miejsce wyrzucić, a w tym rogu swoją skrzynię umieści, aby wiedziano, że ona tu jest teraz panią. A jednak niepowinnaby tego czynić. Gdyby Celka była ową przyszłą gosposią, stara skrzynia stałaby tutaj po wszystkie czasy na pamiątkę po zmarłej, która była tak zawołaną gospodynią, że drugiej takiej w biały dzień ze świecą trzebaby szukać. Pracowała, jak pracować należy, nie myśląc, jak to czynią dzisiejsze gosposie, o własnej wygodzie. Jednego i tego samego dnia umiała uprać bieliznę, zrobić masło i chleb upiec.

Ale oto szmer jakiś daje się słyszeć... Ha, to piasek zaskrzypiał w izbie na podłodze pod czyjąś nogą. I znowu serce tłuc się zaczyna w piersiach Celki, jak wczoraj, gdy Weronka wpadła do niej z wieścią, że ma być jej druchną, a Paweł drużbą. Nadaremnie usiłuje wlać w to serce szalone choćby krzynkę rozumu...

Drzwi do izby uchylone... Baczność więc, aby w tem pomięszaniu nie strzelić jakiego bąka! Stoi już w progu i chce się rozejrzeć, ale nic zgoła nie widzi, bo oczy jej przysłania mgła. Przed oknem coś miga — siedzi tam ktoś widocznie, ale kto: stary czy młody, tego rozróżnić wcale nie może, gdyż ogniste kręgi toczą się jej przed źrenicami, a w uszach taki szum, jak wówczas, gdy lasy przed burzą rozhowor ze sobą wiodą... A jednak musi to być młody, bo trzyma w ręku arkusz papieru, który go całkiem przysłania, w przeciwnym razie już byłby ją zauważył. Druk okrywa ów arkusz papieru, więc musi to być gazeta... teraz właśnie odwraca jedną jej kartę, dostrzega Celkę i twarz jego płonie niemniej żywym rumieńcem, jak i jej lica.

Oh, Paweł jest nietylko najzacniejszym w całym Jesztedzie chłopcem, ale i najurodziwszym zarazem. Głowę niesie, niby jeleń, hardo w górę wzniesioną, a żaden buk w lesie nie wystrzela tak równo i prosto, jak jego postać.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odzywa się nakoniec Celka od progu głosem tak cichym, że zaledwie go słychać, doznaje bowiem takiego uczucia, jak gdyby ktoś z całej siły dławił ją za gardło.

— Na wieki. Witam cię — odpowiada Paweł, ale i jego głos brzmi tak cicho, jak gdyby i on doświadczał w tej chwili duszenia.

— Pięknie ci dziękuję za powitanie.

— Usiądź-że, proszę, ale nie na ławce, toby dopiero było pięknie! Tu, na tem krzesełku przy stole spocznij sobie.

I Paweł podaje dziewczynie na czerwono pomalowane krzesełko.

— Wszak zaraz odejdę, pocóżbym więc siadać miała?

— Ale wpierw powiesz mi chyba, z czem przyszłaś?

— Z niczem tak bardzo ciekawem, przynoszę ci jeno serdeczne pozdrowienie od panny młodej, Weronki Adamówny, której ślub jutro ma się odbyć z całym pośpiechem, bo dziadek pana młodego rozchorował się i zapewne niedługo już będzie gościł na tej ziemi. Owoż Weronka prosi cię po raz pierwszy, drugi i trzeci, abyś, jako najszczerszy jej narzeczonego przyjaciel, jutro rano stawił się za drużbę i ją z przyjaźnią i życzliwością na ślub do kościoła zaprowadził. Przysyła ci tutaj właśnie bukiecik rozmarynu i chusteczkę. Byłaby sama przyszła, ale musiała pośpieszyć do miasta po wieniec i trzewiki.

Nakoniec! wypowiedziała wszystko, co powiedzieć należało. Dzięki niech będą niebu! Teraz dopiero z całej odetchnęła piersi. Gładko jej to jakoś poszło, naprawdę, całkiem gładko, zupełnie jak gdyby pacierze odmawiała na różańcu. I ani razu się nie pomyliła. Rozmaryn również nie wymknął się jej z dłoni, położyła go owszem na stole przed Pawłem, ale wpierw wyjęła z chusteczki, którą złożyła w kwadrat, i tym kwadratem przykryła bukiecik i wstążkę, aby kto na nie uroku nie rzucił. Wszystko już zrobiła ze swej strony, teraz kolej na Pawła, aby przemówił. Co on też jej odpowie? Miałażby wygrać młoda Cywkowa?

Dok. n.

Tłumacz. z czeskiego
M. W.



Rozbiory i sprawozdania.

Jerzy Byron. — »Poemata«, poprzedzone wstępem przez Piotra Chmielowskiego. — Nakład S. Lewentala — Warszawa 1895.

Poeta buntu, którego potężna pieśń leciała nad światem, jak grzmiący okrzyk bojowy, jak hasło swobody, cieszy się od trzech ćwierci wieku niepospolitem uznaniem w naszym, o wolność bojującym narodzie. Licznych mieliśmy po wszystkie czasy naśladowców, tłumaczy, komentatorów, wielbicieli i czytelników Byrona. Ale kult dla wieszcza, który w dobie ogólnego wyczerpania i zwątpienia reakcji sam tylko miał odwagę podnosić męski głos protestu i oburzenia, nie może być nigdy dostatecznym, jak nie może być nigdy zbyt wielką liczba czytelników pism, których szlachetny ogień zapalał Włochy i Grecję do walki; ciskał snopy złotych iskier w ciemność każdej niewoli; rył w mózgach ludzkich pojęcie, że dopiero wówczas narody pełną

odetchną piersią, gdy o czasach, w których królowie zasiadali na tronach, wspominać będą jak o przeżytej epoce mamuta; rozpłomieniał serca wielką, ofiarną miłością dla wszystkiego, co cierpi. Dlatego też poklaskiem szczerej radości powitać należy nowe, a najbardziej wszelkim wymogom odpowiadające wydanie dwunastu najcelniejszych poematów Byrona, które świeżo opuściło prasę, jako ostatni tom »Bibljoteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej«, wydawanej w Warszawie od długiego lat szeregu przez S. Lewentala.

Poemata poprzedza wstęp P. Chmielowskiego »O przekładach utworów Byrona«, w którym to wstępie szanowny autor wymienia w chronologicznym porządku, oceniając w paru słowach literacką ich wartość, wszelkie przekłady, jakie się ukazały w języku polskim od r. 1820 do ostatnich czasów. W szeregu wymienionych tłumaczy, których liczba sięga poważnej cyfry 36, brak jednego tylko, o ile wiem, nazwiska, a mianowicie zmarłego w roku zeszłym Florjana Bohdanowicza, którego przekład Manfreda wyszedł w oddzielnej broszurze przed laty dziesięciu w Kołomyji.

Z dwunastu poematów, które składają się na treść omawianego wydawnictwa, w dziesięciu zużytkowano znakomite przekłady dawniejsze Mickiewicza, Odyńca, Morawskiego, Pajgerta i Czajkowskiego, a dwa tylko: Melodje hebrajskie i Wędrówki rycerza Harolda dokonane zostały specjalnie dla »Bibljoteki« i ukazują się w niej po raz pierwszy.

Bezdenną rozpaczą nabrzmiałe, a całym czarem wschodnich barw mieniące się Melodje hebrajskie znalazły powołanego tłumacza w Adamie M-skim, Wędrówki zaś Harolda w polską przyoblekł szatę Jan Kasprowicz, »który — mówiąc słowami wstępu — umiejętnością przejmowania się tonem i nastrojem poetów obcych wybitnie się odznaczył«, a w pracę niniejszą »włożył i talent znakomity i staranność wielką«. Staranność polega mianowicie na ścisłem zachowaniu misternej i nader trudnej formy oryginału, a talent znakomity przejawia się w języku śpiewnym, jak sama harmonja, a tak giętkim, że z równą oddaje siłą i smętną melancholją Harolda i potężne porywy jego ku swobodzie w najszerszem jej pojęciu; — w bogactwie rymów, żeńskich w całym poemacie, a tylko w pożegnalnej pieśni bohatera męskich, przypominających siłą urwanych dźwięków uderzenia stali o krzemień; — w umiejętności obrazowania wreszcie, dzięki której przekład odtwarza piękność i blask bajronowskiego utworu z taką wiernością, z jaką cicha toń jeziora odbija światło księżycowej tarczy.

M. W.



Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska«. — Marzec 1895.

W urozmaiconym marcowym zeszycie »Biblioteki« zasługują na razie na zanotowanie tylko nieskończone jeszcze artykuły: B. Łozińskiego szkic socjologiczny p. t. »Tłum«, oraz »Sprawa chińsko-japońska«, jednego z weteranów naszego dziennikarstwa dawniejszego pokroju, J. Keniga.

P. Zygmunt Wasilewski, znalazłszy w zbieranych przez siebie materjałach do monografji o Goszczyńskim kilka nieznanych szczegółów z życia Słowackiego, podaje je w artykule »Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim (1839 do 1849)«. Goszczyński poznał Słowackiego w r. 1839 po przyjeździe ze Strasburga do Paryża. Wątpić jednak należy, czy się zbliżyli wtedy do siebie. Nastąpiło to dopiero w r. 1842, pod wpływem towianizmu, gdy obaj weszli do Koła. W omawianym artykule zasługuje na uwagę, prócz listów, notatek etc., — co sobie bjografowie Słowackiego należycie ocenią i zużytkują — paralela, którą przeprowadza autor między Słowackim a Goszczyńskim.

». . . . . Od urodzenia szli odmiennemi drogami. W literaturze nawet, jako poeci, stali na dwóch biegunach, nie mając z sobą nic wspólnego, ani w poglądach na poezję, ani w talencie, ani w sposobie tworzenia. Goszczyński poezję na drugim kładł planie, egzystencję swoją i miłość własną na ostatnim; poezję i czyn tak kombinował w życiu, że w czynach jego widzimy poetę, w utworach — człowieką czynu. . . . . Na pozór dziwnem się wydaje, że spotkali się w stolicy świata rówieśnicy prawie, urodzeni na jednej ziemi, obaj poeci, a mieli się tak do siebie, jak azbest do granitu. Dwie odmienne w gruncie kultury ich zrodziły; jeżeli bowiem weźmiemy pod uwagę cechy kulturalne społeczeństwa (nie przynależność heraldyczno-stanową), Goszczyński bliższym był z pochodzenia warstw ludowych (syn ekonoma), Słowacki zaś uprzywilejowanych. Pierwszy wybujał równomiernie, mięśniami i duchem z gleby nizin społecznych, świeżo wzruszonych pługiem cywilizacji, własnemi siłami wybijając się nad poziom pomimo złych warunków życiowych; drugi był wytworem kultury starej, wysilonej już życiem jednostronnem, kultury, która właśnie odświeżoną być miała dopływem elementu nowego, w osobie Goszczyńskiego i jemu podobnych. A jednak spotkały się ich drogi. Trzeba było na to wyjątkowych okoliczności i specjalnego terenu — »Sprawy Bożej«, która, »rozwiązując duchy, stawiała je nad ciałami«.

Dr Stebelski Piotr w treściwym artykule poddaje krytyce »Więzienia w Austrji«. Resztę zeszytu wypełnia dalszy ciąg powieści Kowerskiej »Na służbie«, poezje Konopnickiej i Rydla oraz zwykłe działy sprawozdawcze.

p.



PRO MEMORIA.

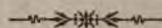
14. maja 1792. Zawiązała się w miasteczku Targowicy na Ukrainie konfederacja dla obalenia Konstytucji 3. maja i przywrócenia z pomocą moskiewskiej carowej dawnej samowoli szlacheckiej. Na czele konfederacji stanęli magnaci: Potocki, Rzewuski i Branicki.

15. maja 1863. Został rozstrzelany w Płocku Zygmunt Padlewski, członek Komitetu Centralnego, zwycięzca z pod Myszyńca. Straszną miał śmierć, poraniony tylko bowiem dwunastu kulami, ale żywy i całkiem przytomny, wtrącony został do grobu i pomimo jęków protestu piaskiem zasypany.

16. maja 1863. Bolesław Świętorzecki stoczył pomyślną bitwę pod Marcinówką.

17. maja 1863. Traugut pobił Moskali pod Horkami na Litwie.

18. maja 1809. Sokolnicki zmusił Austrjaków do ustąpienia z Sandomierza.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.